

18 grudnia 2011 w warszawskim klubie Capitol odbył się specjalny koncert „Gramy dla Zbyszka”. Pojawiła się na nim niemal cała polska jazzowa ekstraklasa. Chętnych do zagrania było tak wielu, że dla wszystkich zabrakło czasu. Mimo to cała impreza przerodziła się w wielogodzinny maraton. Wszystko to dla Zbigniewa Wegehaupta – wybitnego kontrabasisty, kompozytora, lidera i dobrego, ciepłego człowieka.

Marek Romański



Zbigniew Wegehaupt

Kulminacyjny punkt koncertu stanowiła przekazywana przez głośniki rozmowa telefoniczna ze Zbyszkiem, który przebywał wówczas w szpitalu po operacji wszczepienia by-passów. Niestety, jego głos dla większości z obecnych zabrzmiał wówczas po raz ostatni.

W nocy z 12 na 13 stycznia 2012 w Warszawie, dosłownie kilka metrów od redakcji „Jazz Forum”, Wegehaupt zmarł na atak serca. Kilkaset metrów dalej znajduje się



placówka pogotowia ratunkowego. Lekarze znaleźli się przy nim w kilka minut, ale już nie byli w stanie zrobić...

Zbyszek Wegehaupt (Wege, jak nazywali go znajomi) zawsze myślał bardziej o innych niż o sobie. Przez ponad 30 lat kariery nagrał tylko trzy autorskie płyty – „Sake” (1984), „Wege” (2005) i „Tota” (2007). Za to na palcach jednej ręki można policzyć ważnych polskich muzyków, których nie wspierał jego kontrabas. Grali z nim praktycznie wszyscy, także ci najwięksi – Tomasz Stańko, Zbigniew Seifert, Zbigniew Namysłowski.

Kiedyś spotkałem się z nim w kawiarni, by przeprowadzić wywiad. Przez kilkanaście minut mówił o wszystkich, tylko nie o sobie. Kiedy wreszcie spróbowałem skupić się na nim, powiedział: „To nie jest ciekawe. Grałem z tyloma wspaniałymi ludźmi – to jest coś, co powinno zainteresować czytelników”.

A przecież był wyjątkowy. Kiedy w 1976 roku startował w konkursie na festiwalu Jazz nad Odrą we Wrocławiu (kwartet Wojtka Gogolewskiego, w którym grał, zajął wówczas II miejsce, a Wege otrzymał nagrodę indywidualną dla najmłodszego uczestnika konkursu), od razu zdobył sobie publiczność i krytyków skomplikowanymi solami. Tak na kontrabasie grało wówczas może kilkunastu muzyków na całym świecie.

Urodził się 9 sierpnia 1954 roku w Katowicach. Grał na tym, co było w domu – gitarze i akordeonie. Na ten ostatni próbował się dostać do szkoły muzycznej, ale się nie udało. Dyrektor zaproponował mu kontrabas. Nie od razu go zaakceptował – dopiero solo Stanleya Clarka w utworze „La Fiesta” zespołu Return To Forever Chicka Corei sprawiło, że zakochał się w tym instrumencie.

Do jazzu doszedł trochę nietypowo – grając rocka. W ciągu dnia wykonywał klasyczne utwory w wyższej szkole muzycznej w Katowicach, a wieczorami szalał na bigbeatowych imprezach.

Momentem przełomowym był koncert kwintetu Tomasza Stańki w czasie Jazz Jamboree ’73. Przeżycie było tak silne, że postanowił się poświęcić jazzowi. A największe wrażenie zrobił na nim grający wówczas ze Stańką na kontrabasie Bronisław Suchanek.

Jeden z pierwszych jazzowych zespołów założył z przyjacielem, pianistą Danielem Ruttarem. Później był wspomniany kwartet Wojtka Gogolewskiego i Jazz nad Odrą. O młodym basiście dowiedziała się cała Polska. Znany już wówczas, nie tylko w naszym kraju, gitarzysta Jarek Śmietana zaprosił Wege do swojego zespołu i ten fakt stał się preludium do jednego z najważniejszych wydarzeń w jego życiu. Jak mówił po latach: „Zbigniew Seifert zaproponował mi udział w trasie koncertowej. Niestety, jak

się później okazało, były to ostatnie polskie koncerty wspaniałego muzyka. [...] To jedno z najcudowniejszych wydarzeń w moim życiu. Seifert skomponował nowy materiał i chciał go „ograć” przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. [...] Po tej trasie Zbigniew wyjechał do USA, tam nagrał płytę i poddał się operacji. Niestety, serce nie wytrzymało”.

Po tej trasie, w krakowskim klubie „Pod Jaszczurami”, nagrał wraz z Seifertem – wówczas już światowej sławy skrzypkiem – płytę „Kilimanjaro”, która do dziś pozostaje jednym z najważniejszych nagrań polskiego jazzu.

W następnych latach współpracował z Janem Ptaszynem Wróblewskim i Tomaszem Stańką (w trio z fińskim perkusistą Edwar-



dem Vesalą). Wraz z Ptaszynem odwiedził USA. Zaproponowano mu studia w Ameryce, ale w tamtych czasach nie byłoby możliwości powrotu do kraju (wprowadzono stan wojenny). Wege zrezygnował: „Ja nie nadaję się do emigracji – zawsze bardzo tęskniłem za Polską. Nawet wtedy, gdy nie miałem gdzie mieszkać, gdy klepałem biedę – tęskniłem”.

Stan wojenny był ciężkim czasem dla artystów. Większość odmawiała wówczas wykonywania zawodu, aby uniknąć posądzeń o wspieranie reżimu. Wybawieniem dla Wegehaupta stała się współpraca ze Staszkiem Soyką. Założył on wówczas zespół grający muzykę religijną, z którym występowali w kościołach całej Polski. Honoraria pochodziły z ofiar składanych przez wierznych na tace.

W 1984 roku wydał pierwszy autorski album „Sake”. Wraz ze Zbyszkiem zagrała ówczesna czołówka polskich muzyków –

Czesław Bartkowski, Andrzej Olejniczak, Henryk Miśkiewicz i Janusz Skowron. Okazało się, że nie tylko jest wspaniałym basistą, ale także zdolnym kompozytorem i liderem, który potrafi wydobyć ze swoich muzyków to, co najlepsze.

Następną własną płytę nagrał dopiero 20 lat później. Ten okres wypełniła praca dla innych liderów, z których najbardziej cenił Zbigniewa Namysłowskiego.

Do nagrania kolejnego autorskiego albumu musiał go namówić Stanisław Soyka. Nie dość, że go zachęcił, to jeszcze całe przedsięwzięcie sfinansował. Wegehauptowi pozostało skomponować materiał, zebrać muzyków i wejść do studia.

Wege materiał stworzył, ale zespół, który sformował, wydawał się połączeniem ognia



z wodą. Mainstreamowy trębacz Jerzy Małek, szalony innowator Marcin Masecki na fortepianie i Sebastian Frankiewicz na perkusji. Młodzi ludzie, w dodatku każdy z innej parafii. A jednak to wszystko zagrało. „Wege” (2005) było wówczas jedną z ciekawszych płyt nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Być może właśnie dzięki przeciwstawieniu tradycji i eksperymentu; starannej aranżacji przełamywanej nieskrępowaną improwizacją.

Kolejny album („Tota”, 2008) to również kwartet, z tą różnicą, że za perkusją zamiast Frankiewicza zasiadł izraelski perkusista Ziv Ravitz. Muzyka była jeszcze bardziej przemyślana, starannie zaaranżowana, ale nadal miała w sobie iskrę szaleństwa, którą krzeszał Masecki.

I to już wszystko, jeśli chodzi o autorski dorobek Wegehaupta. Czasu jednak nie

miał zbyt wiele. Obok występów i nagrań z niezliczonymi rzeszami muzyków (od Włodka Pawlika, Janusza Muniaka, przez Annę Marię Jopek, po Grzegorza Ciechowskiego) współpracował z Jerzym Satanowskim. Przez kilkanaście lat nagrał liczne jego kompozycje, wykorzystywane później w filmach i spektaklach teatralnych.

Wykonywał również muzykę klasyczną, m.in. „Karnawał zwierzęcy” Saint-Saensa. Z kwartetem Prima Vista występował na koncertach dla dzieci. Był tym wszystkim bardzo przejęty. Uważał, że gra z muzykami klasycznymi go nobilituje. Traktował ją jak zaszczyt.

Był muzykiem wybitnym, ale nie dbał o promocję. Uważał, że prawdziwa muzyka sama utoruje sobie drogę do słuchacza. Czasy, gdy normą stało się podkreślanie swoich zasług, koneksi i umiejętności, a podstawową cechą artysty – siłą przebiecia, nieco go przerażały. Nie bardzo potrafił je zrozumieć i się w nich odnaleźć. Pozostały po nim nagrania, wspomnienia i świadomość, że odszedł ktoś wyjątkowy, nie do zastąpienia.

21 stycznia 2012 w kościele parafialnym oo. Barnabitów w Warszawie (nieopodal mieszkania Zbyszka) została odprawiona msza żałobna. W świątyni stał się tłum muzyków, wielu z nich zagrało dla niego ostatni chór – Zbigniew Namysłowski, Sebastian Frankiewicz, bracia Majewscy, Andrzej Jagodziński, Michał Kulenty, Krzysztof Herdzin, Wojtek Konikiewicz i inni. Cztery dni później Wege został pochowany na cmentarzu oo. Bonifratrów w rodzinnych Katowicach. I tam pojawili się liczni muzycy, wśród których prym wiodli śpiewający nad grobem podhalańscy górale. ■

